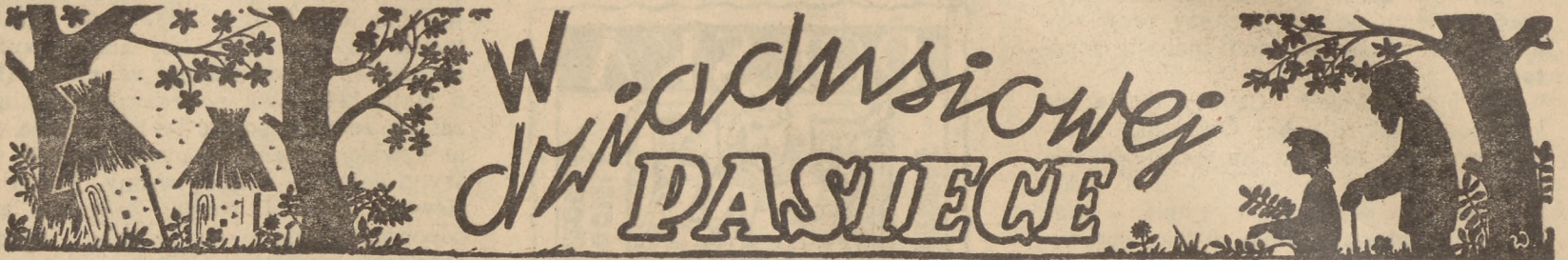


ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



Witek zeszłego roku był na kolonjach. A tego lata matka go wysłała do dziadka. A u dziadka przyjemnie. I dziadek dogadza i babka coraz to jakiś smaczny kęs podsunie. Przed domem jest sad. Rosną tam jabłonie wielkie i rozłożyste (tylko jabłek dziadek nie pozwala jeszcze zrywać, bo to zimowe), przysadkowe śliwy, a pod płotem stare, kto wie ile lat mające lipy. I tak przyjemnie jest leżeć na chłodnej pachnącej trawie i patrzeć jak w górze po niebie przesuwają się białe obłoczki.

Ale najciekawsze ze wszystkich są uli. Bo dziadek ma pasiekę. Stoją sobie te uli (dwadzieścia ich jest) rzędem jeden koło drugiego a z czarnych okienek bez przerwy wylatują pszczoły. Jedne wylatują a drugie wlatują. Chciałoby się zajrzeć jak tam jest w środku. Gdzie one miód składają i jak wygląda na prawdę ten plaster. Ale dziadek do uli podchodzić nie pozwala.

— Pszczoły — mówi — do swego domu podchodzić nie pozwalają. Bronią go. Uważaj...

Witek uważał i nigdy do wymarzonej pasieki zbyt blisko nie podchodził. Ale raz skusiło go. Było południe takie ciche, że słychać było tylko jak na niedalekiej łące grały koniki polne a w lipach brzęczały pszczoły.

— Chyba teraz wszystkie wyleciały — pomyślał Witek — podejść cichutko, zajrzeć tylko i zaraz ucieknę...

Podkrał się ostrożnie do uli i spojrzął w czarny otwór. Ale nic nie zobaczył. Ciemno i już. Chciał już odejść, gdy nagle poczuł jakby mu na głowę spadła gorąca kropła. Schwycił ręką — bzzzz — i wyjął z włosów przyduszoną pszczołę. I w tej chwili taka sama gorąca kropła spadła mu na policzek a druga na kark. To już nie żarty. Witek w nogi a pszczoły za nim. I skąd się ich tyle wzięło. Cały rój napadł na niego czy co? Witek w krzyk. Wybiegła z chaty przestraszona babka, wybiegł dziadek, a tu Witek tarza się po ziemi, wierzga nogami i krzyczy w niebogłosość.

Dwa dni po tej przygodzie przeleżał w łóżku i babka cały czas przykładła mu jakieś kompresy i okłady. A zapuchł tak, że mu oczu widać nie było. Gdy spojrzął do lusterka, to sam siebie przestraszył się.

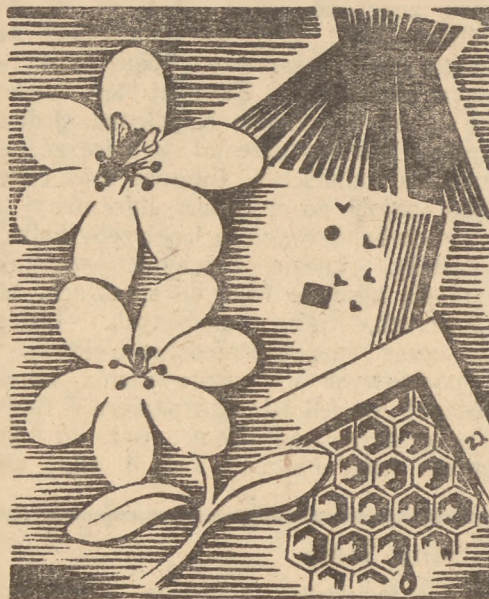
Twarz wykrzywiona, jedno oko wyżej, drugie niżej, na czole olbrzymi czerwony guz. Straszne...

Wstał wreszcie Witek, ale się ludziom wstydził pokazać. A dziadek na dobitkę dokucza jeszcze.

— Nie słuchałeś dziadkowych rad, musiałeś usłuchać pszczół. One ci to dobrze wytłumaczyły. Teraz już nie zapomnisz.

Babka, że to litościwe serce miała, broniła trochę swego ulubieńca:

— Dajże spokój, i tak się chłopak nacierpiał.



Po obiedzie dziadek szukał czegoś długo w komórcie a potem krzyknął z sieni: — Witek, ciągle się jeszcze gniewasz na pszczoły?

Wyszedł Witek do sieni nadęty jak indyk. Aż zębami zgrzytał ze złości. Dziadek popatrzył na niego swymi szarymi śmiejącymi się oczyma i powiedział:

— No cóż? Pójdziemy na przeprosiny?

— Na jakie przeprosiny?

— No do tych potworów, co z ciebie cudaka z krzywą buzią zrobili. Widzisz — dodał poważnie — wszystko można robić, ale najpierw trzeba się nauczyć. Masz tu siatkę.

I podał Witkowi gęsciutką siatkę taką, że zasłoniła całą twarz i głowę. Sobie wziął drugą. Bardzo się to Witkowi podobało. Widział w muzeum dawne zbroje z takimi przyłbicami. Będzie wyglądał zu-

pełnie jak rycerz. A jeszcze kiedy mu dziadek dał wielkie, grube rękawice, chłopak wpadł w zachwyt i zapomniał o wszystkich swoich utrapieniach.

Przeszli przez sad, aż do tego miejsca, gdzie stały uli i tam dziadek z jednego po drugim wyjmował złociste plastry miodu i ostrożnie układał je na desce. Wszystkie plastry były w drewnianych ramkach. Niektóre miały wszystkie otwory zamknięte a niektóre tylko część.

— Widzisz — tłumaczył dziadek — jakie to stworzenie pracowite. Patrz jak równiutko plaster zrobiony. Wszystkie komórki jednakowe, jakby kto najdokładniejszą miarą wymierzył.

Pszczoły latały zaniepokojone, brzęczały koło uszu, ale Witek teraz nie już sobie z nich nie robił. Miał przecież zbroję.

Gdy dziadek opróżnił już wszystkie uli, ostrożnie ponieśli plastry do domu.

— Teraz wstawimy je w taką maszynę, która nazywa się wirówką i tam cały miód ścieknie z nich.

— A z plastrów zrobimy wosk? — dopytywał się Witek.

— Można wziąć je na wosk, ale wtedy miodu będzie mniej.

— A dla czego?

— A no dla tego, że pszczoła zamiast zbierać miód będzie musiała robić nowy plaster. Już lepiej my te plastry opróżnimy i zawiesimy je z powrotem w uli.

Potem przyniósł pusty już plaster i pokazał wnukowi.

— No masz, przyjrzyj się dokładnie.

Witek wszystkie zawsze „ogładał” rękami i teraz więc spróbował dotknąć delikatny plaster palcami. Cienutkie ścianki załamały się, pomięły i w równiutkiej kratce utworzyła się dziura.

— Ojej, dziadku, zepsulem...

— O, będą miały teraz roboty z lataniem tej swojej śpiżarni. Będą musiały zbierać wosk, lepić go łapkami i latać tak, co ty zepsul.

— To pszczoły i wosk zbierają?

— Jaby ci dwójkę postawił z przyrody. A co ty myślał, że w sklepie kupują. Naturalnie, że zbierają. Miód robią z soku kwiatowego, a na wosk zbierają delikatny pyłek. O patrz ten — i nim Witek się opamiętał dziadek wyjął z dzbanka wielką żółtą lilie i umazał mu żółtym pyłkiem cały nos.

(Dok. na str. 2-ej)

O ZNACZKU pocztowym

Takie to proste! Mamy zaadresowany list. Przylepiamy znaczek pocztowy, wrzucamy do pierwszej, napotkanej po drodze skrzynki pocztowej i już o list się nie troszczymy. W normalnych warunkach ten, do kogo list został zaadresowany, otrzyma go w odpowiednim czasie, choćby przebywał w Honolulu.

Ale dawniej nie było to takie proste. Na wynalazek znaczka pocztowego trzeba było czekać ni mniej ni więcej, jak 19 wieków naszej ery. Dopiero sto siedem lat temu po raz pierwszy przy wymianie listów zastosowano znaczek pocztowy.

Jak było dawniej? Czyżby ludzie nie korespondowali ze sobą? Owszem, porozumiewali się ze sobą na odległość, ale robili to zupełnie inaczej, niż dziś. Jakże znaczenie ma szybkość w wymianie wiadomości, zdawali sobie ludzie sprawę. Ten, kto szybciej wiedział, co się z dala od niego dzieje, panował nad sytuacją. Ot np. król Dariusz, który żył w Persji w szóstym wieku przed narodzeniem Chrystusa, jak na owe czasy potrafił zorganizować doskonałą pocztę. W tym celu używał pieszych oraz konnych gońców. Zaledwie kilkunastu dni potrzebował, żeby z Palestyny przekazać wiadomości do wybrzeży Oceanu Indyjskiego. Króla Dariusza prześcignęli Talarzy XII wieku, bo zorganizowali łączność na przestrzeni tysięcy metrów. Słowianie znów za pomocą „wici“ w mgnieniu oka potrafili zawiadomić, że kraj jest w niebezpieczeństwie, i że ruszyć trzeba w jego obronę. Bardzo ciekawym środkiem porozumiewania się są święte bębny afrykańskie. Kapłani murzyńscy pół życia ćwiczą się w umiejętności posługiwania się bębniem, dopóki nie nauczą się przy jego pomocy mówić z innymi tak, jak przy użyciu mowy ludzkiej. W ten sposób nie przebyte puszcze niosą głos bębna, a z nim najważniejsze wiadomości.

Dziś dzięki radiu, gdy chcemy przekazywać komuś ważną wiadomość, możemy to uczynić niezwłocznie. Ale dawniej tak nie było. Przyjrzyjmy się dawnym rekordom szybkości. O ucieczce Napoleona z wyspy Elby dowiedziano się w Krakowie bodaj po dziewięciu dniach.

Słowackiego zdumiewa szybkość poczty z Krzemieńca do Wilna. W jednym ze swych listów pisał, że krajobrazy zmieniały się z błyskawiczną szybkością w czasie podróży, która trwała 4 dni.

Dawniej ludzie nie cenili tak każdej minuty czasu, jak dzisiaj. Kompanie handlowe dość miały czasu, by każdy list opisać i cenę za niego wyznaczyć. Zresztą wysłanie listu do osób prywatnych było wydarzeniem nie lada! Pisało



się wtedy, gdy umarł ojciec, gdy syn się narodził albo córka wyszła za mąż.

Jak znaczone listy? Już za czasów Ludwika XIV, 300 lat temu, listy zaopatrywano w pieczętkę „Poste payé“ — opłata uiszczona. Zwyczaj ten zachował się aż do czasów Napoleona. Jednak wkrótce ludziom przestał wystarczać. Ze wzrostem ludności w Europie było coraz więcej okazji do wymiany informacji w sprawach handlowych, a i potrzeby ludzkie wzrastały. Ludzie zapragnęli wiedzieć, co myślą bliscy o różnych sprawach, tak publicznych, jak i osobistych. Listów było coraz więcej. Przedstawiciele agencji pocztowych dla usprawnienia korespondencji zaczęli używać papieru i listów ze specjalnym nadrukiem. Był to już znaczny krok naprzód, ale i tutaj wy-

łonił się szereg trudności. Nie każda okolica była w papier zaopatrzona, a przy tym list nabyty w jednej agencji nie mógł być użyty w innej itd. Wszyscy mówili o trudnościach, ale dopiero jeden człowiek potrafił im zaradzić. Jeden z lordów angielskich wpada na dobrą myśl: wprowadźmy jednostajną opłatę pocztową do wszystkich agencji pocztowych i niech każda z nich przewozi wszystkie listy, a nie tylko te, które w jej biurach zostały opłacone. Myśl tę wypowiedział lord Hill w 1837 roku. Ale aż trzech lat było potrzeba, zanim pomysł ten został wprowadzony w życie. Dnia 6 maja 1840 roku po raz pierwszy ukazał się znaczek pocztowy na świecie. Był to kawałek ostemplowanego papieru, pokryty klejem z drugiej strony. Kosztował niewiele, tylko 1 penny. Żeby nie brać odpowiedzialności na siebie, agencje pocztowe powierzyły Hillowi organizację nowej poczty.

Pierwsze drukowane znaczki przedstawiały Królową Wiktorię. Krzyż maltański znajdował się na narożnikach, a u góry widniał napis: „Postage“ tzn. „Poczta“. Na dole zaś „One penny“ albo „Two penny“. Ten pierwszy znaczek zaprojektował malarz, F. Heath. Pierwsza kartka pocztowa ukazała się na Węgrzech w roku 1865. Autorem jej był człowiek o nazwisku Stefan.

Dziesięć lat minęło, zanim na terenie Europy ukazały się pierwsze znaczki pocztowe. Dziś mają one olbrzymią wartość. Niektóre bowiem prawie zupełnie zanikły. Do takich unikatów należy obecnie znaczek z Brytyjskiej Gubernii z 1860 roku. Przedstawia on okręt żaglowy. W obwodzie znajduje się napis łaciński. Utrzymany jest w kolorze karminowym. Gdy nominalna wartość jego wynosił 1 cent, wartość giełdowa aż kilkadziesiąt tysięcy funtów. Jeśli chcecie się dowiedzieć o wartości różnych znaczków, korzystajcie z podręczników filatelistycznych. Czyńcie to zwłaszcza przy zbieraniu znaczków pocztowych.

Z górą sto lat upłynęło od czasu, gdy pierwszy znaczek został zastosowany, a dziś poczta przewozi i doręcza miliardy listów w ciągu roku. Jednym z najbardziej rozpowszechnionych przedmiotów naszej epoki jest list. Posługuje się nim każdy piśmienny człowiek. Dlatego od dawna zwrócono uwagę na znaczenie znaczka pocztowego. Wszystkie ważniejsze wypadki w życiu kraju znajdują odbicie w znaczku pocztowym. Dlatego w ostatnich czasach ukazują się pewne serie znaczków (tzn. kilka lub kilkanaście o pokrewnym temacie). Np. seria z krajowymi obrazami Polski, później seria znakomitych ludzi. Inna seria jest poświęcona zabytkom przeszłości. Ostatnio na naszych znaczkach oglądamy barbarzyństwa Niemców.

Niektóre znaczki w czasie produkcji ulegają znacznym deformacjom. W wymianie placą za nie znawcy wysokie ceny.

Zbieranie znaczków jest ciekawym i pożytecznym zajęciem. Nic więc dziwnego, że młodzież oddaje mu się z zapalem. Ogromne zainteresowanie budzi ono wśród dorosłych. Aby ułatwić wymianę znaczków ich amatorom, istnieją związki filatelistyczne.

(Dokończenie ze strony 1-ej)

— No, co dziadek robi...
— To żebyś dobrze zapamiętał. Więc z pyłku robią pszczoły wosk, a miód wypijają z samego dna kwiatu.
— Taka mała pszczoła i tyle miodu nabiera — dziwił się Witek.
— Prawda? Tylko, że nie sama. Wszystkie one razem pracują. A jest wśród nich jedna najważniejsza, największa pszczoła — matka, albo królowa. Ta nie wylatuje z ula. Właściwie wylatuje, ale tylko wtedy, gdy rój zmienia mieszkanie.
— Jak to?
— A no tak, że raz do roku pszczoły wylatują z ula. Wylatuje wtedy i królowa, a wszystkie pszczoły lecą za nią. Jeżeli chcesz złapać rój, to przede wszystkim musisz złapać królową. Wszystkie wtedy pójdą tam, gdzie ty ją zaniesiesz.
— Jakże to dziwne. Ale mnie się naj-

bardziej te plastry podobają. Czym one je mierzą, że tak równiutko wychodzą?
— Witek przypomniał sobie swoje strapienie w szkole, kiedy w żaden sposób nie mógł równego kwadratu narysować. A tu nie kwadrat tylko — raz dwa trzy... sześciobok i to taki równiutki, że linijką lepiej by się nie wymierzyło.
— Nie tylko ty się nad tym zastanawiasz. Dużo uczonych obserwuje pszczoły. Ale trudno wytłumaczyć dlaczego one właśnie tak pracują...

— Ja jak dorosnę, to będę pszczelarzem.

— Doskonale, tylko, nim dorosisz, jeszcze tyle ciekawych rzeczy na świecie zobaczysz, jeszcze ciekawszych może niż pszczoły, że cię może coś innego zainteresuje. A teraz choćmy do babci niech nam da chleba z tym świeżym miodem

ZOFIA KWIECIŃSKA

BOLESŁAW ZAGAŁA



Wypława GRZYBY



Ach, jak przyjemnie było na tych koloniach letnich w Śródborowie. Powietrze czyste i pachnące, nie tak jak w Warszawie pełne kurzu.

Dom, w którym Janek, Zosia i Jadzia mieszkali miał piękny, czerwony dach i ogród był pełen kwiatów, które dzieci same pielęgnowały i podlewały wielkimi konewkami, albo długim gumowym węzłem.

— Jak będziecie grzeczne — powiedziała pani, — to jutro pójdziemy na grzyby.

Zosia, Hania i Janek, aż zaklaskali w ręce z radości.

— Czy też urządzimy takie wyścigi, jak wtedy na jagodach?

— Takie wyścigi — objaśniła pani — nazywają się konkursem.

— A więc jutro bierzemy wszyscy udział w konkursie grzybobrania.

Rano dzieci wstały bardzo wcześnie, przedziutko posłały łóżka, sprzątnęły pokój, szybko zjadły śniadanie i o godzinie 7 zebrały się na podwórku.

Każde trzymało w ręce koszyczek lub torebkę, a Jadzia nawet ogromną korbaczkę do zbierania szyszek.

— Przecież tyle grzybów nie zbierasz — śmiali się wszyscy.

W lesie było bardzo przyjemnie. Panoval tu miły chłód i półmrok.

Na ziemi był mech, taki śliczny, zielony i mięciutki, jak dywan. Więc dzieci usiadły, aby odpocząć na tym puszystym posłaniu.

To właściwie Jadzia pierwsza zobaczyła „borowika“. Miał pękaty korzonek i brązowy kapturek.

— Jest, jest proszę pani, znalazłam „prawdziwkę“ — ucieszyła się.

Ale pani musiała ją zmartwić. To nie był grzyb jadalny, chociaż bardzo podobny, więc trzeba go było wyrzucić.

Jadzia posmutniała, ale nie na długo, bo wkrótce spostrzegła inny grzybek i tym razem był to rzeczywiście „borowik“.

Grzybów było co nie miara. I prawdziwki, w brązowych kapturkach, podobne do mnichów w kapuzach i syrowiatki, przypominające kieliszki, napełnione czerwonym winem, i maślaczki, z płaskimi kapelusikami, oślizgłe i lśniące.

— O, proszę pani — mówi Hania. — Ten wielki grzyb — to jest dziadek, ten mały ojciec, a to są dzieci i wnuczka. Nie będę zrywała tych małych, niech sobie podrosną.

Każde z dzieci zostawiło sobie taką małą rodzinę i zaznaczyło miejsce, żeby trafić tu następnym razem.

Konkurs wygrała oczywiście Jadzia i chciała się swym dziełem pochwalić, ale przeszkodził jej w tym zamiarze mały Stefek, pokazując z triumfem swój koszyczek, pełen pięknych czerwonych, biało nakrapianych grzybów.

— Ależ to są muchomory — zaśmiał się dzieci.

Stefek był bardzo obrażony. Takie piękne grzyby, a oni mu je każą wyrzucić. I już był bliski płaczu, ale w porę zapobiegła temu Jadzia, ofiarowując mu wspaniałomyślnie połowę swego plonu.

Do domu wracały dzieci zmęczone, ale szczęśliwe.

Grzybki, zbierane własnymi rękami będą im na pewno smakowały.

HALINA TOLŁOCZKO



10)

BENEDYKT HERTZ

KRZYSIA I JANEK na wakacjach

IV.

Bardzo byłem zły na Janka, że mi odebrał tytuł admirała. Tak, to było niesprawiedliwe. Bo przecież nie moja wina, że się nasza arka rozleciała. Sam Noe nic by nie poradził, gdyby zamiast korabia dostał balę. Janek wyobraził sobie, że gdy on — jako Róg Bawoli — nazwie szaflik okrętem, to już balwany morskie będą przed nim stawały na baczność. A pokazało się, że nie.

To ja jestem temu winien?...

A w dodatku przestał mnie nazywać wielkim hetmanem koronnym.

— Przez ciebie — mówi — przegraliśmy wojnę z Borutą.

— Wojnę! Jaką znów wojnę?... Nie wierzył chłopcom wiejskim, że w krzakach straszy, a potem uciekł, ujrawszy koronę ognistą — to jest wojna?... I że niby ja pierwszy zmykałem. Nic dziwnego! W tamtą stronę kazał mi iść za sobą, to z powrotem byłem przed nim. A co do uciekania, jak babcię kocham, uciekał wcale nie wolniej ode mnie.

Zresztą, Krzysia dziesięć razy mówiła, żeby jeszcze raz pójść w te tajemnicze

krzaki, bo ona w żadnego Borutę nie wierzy... Nic nie odpowiedział. Widać, że bał się. Wolał wojować z pokrzywami.

A tak, z pokrzywami.

Nieraz się mówi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ale da się powiedzieć i na odwrót: nie ma tego dobre-



go, co by i złych skutków nie miało. Prosiłszy Boga o deszcz, bo susza niszczyła ogród; a przyszły ulewy i nowy kłopot. Deszcz, jak słońce: nie przebiera i równie jest łaskawy dla pszenicy, jak dla kłokolu, dla maliny jak dla wilczej jagody... Więc gdy się tylko wypogodziło, Walentowa w

krzyk: „Gwałtu! trza plec zielsko, bo całym ogród zagłuszy“.

Odtąd najważniejszą robotą stało się pielenie. Praca niby uciążliwa, ale nam, dzieciom, bardzo się spodobała. Kiedy indziej mówią: nie deptacie trawników, nie kręć się między grzędami... tu nie wolno, tam nie wolno... A teraz przeciwnie! Wlazł się między truskawki, w grzędy pomidorów, grochu, marchwi — i dalej wyrzucać nieproszone goście: tu komosa rozczapierza liście, tam bylica wtyka z ziela małe białe kwiatki, a co jeszcze wszędzie pokrzywa, ostów, psich jagód... Można rwać, rwać, nikt nie bremi, przeciwnie, chwala.

Naturalnie, że przy tym rwaniu chwastów uszczknę się od czasu do czasu tu truskawkę, tam strączek młodego, słodkiego grochu... Romek np, niczego tak nie lubił, jak marchew. Wyrwie, ręką trochę tylko z ziemi otrze i chrup-chrup — już jej nie ma.

Były jednak i przykre strony tej wojny z zielskiem. Niejednego pokrzywy tak poparzyły, że miał całe ręce spuchnięte. Albo trafisz na mocno rozrośnięty i głęboko zakorzeniony oset... Ho ho! była z nim robota, niekiedy naprawdę krwawa. Bo taki oset trzyma się bestia ziemi z całym siłą, a spróbuj wziąć go za łodygę... Będzie się ostrymi kolcami bronił do upadłego.

Ala co tam, trudno: wojna to wojna.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Mieszkanie do wynajęcia

Na ulicy Pogodnej stał domeczek tyciutki.

No, trochę większy od psiej budki. Daszek miał czerwony z pięknym kominem.

Okna zielone, a klamki złociste. Z daleka już poznać można jak tam w domku czysto.

Schodki zamieciono, podłoga aż lśni. Szyby przezroczyste — bielusiętkie drzwi.

A na ganeczku Zosia trzepie ściereczki, czyści zamki, klamki i zawlasy.



Przechodził ulicą Pogodną pan Rafał Niedbały. A miał właśnie kłopot niemały, bo mieszkania szukał.

Spojrzał na domeczek.

— Hm — maleńki, ale ładniutki, ale czyściutki...

Uklonił się Zosi niedbale i prosi:

— Czy mógłbym wynająć jeden pokój? Jestem grzeczny lokator. Niech się Zosia nie boi.

— Dobrze — mówi Zosia. — Ale panie Rafale bardzo musi pan uważać, bo ja lubię porządek.

— Hm, to trudne warunki, lecz domek podoba mi się, więc przystaję.

— Czy można po schodkach wejść do środka?

— Bardzo proszę — mówi Zosia gospośia.

Sfawia pan Rafał na schodkach nogę, aż tu Zosia w krzyk:

— O, nie! Tak pana puścić nie mogę! Najpierw, Rafale drogi, wytrzyj pan z błota nogi.

— Och, to zbyt ciężkie warunki! — Nie to mi nie odpowiada — mruczy pan Rafał Niedbały.

— A szkoda, bo mi się domek podoba...

— A dlaczego się panu podoba?

— Bo jest miłutki, czyściutki, z daleka aż się świeci. — Szyby czyste, klamki złote...

— No, a gdyby wszedł pan z błotem, zaraz by tu było brudno.

— Ciężkie warunki, ale trudno!

I Rafał Niedbały buciska z błota wyciera. — Obmazał trochę ręce, ale buty aż lśni.

— Proszę, niech pan wejdzie teraz — zaprasza Zosia.

Wchodzi Rafał po schodkach, chce sięgnąć do klamki, a tu Zosia woła:

— Panie Rafale, proszę do środka, ale ja sama otworzę, bo klamka się pobrudziła może. — Chyba, że umyje pan ręce.

— Ach, to za ciężkie warunki! Nie, wątpię, czy ja podołam. — A szkoda, bo mi się pokój podoba... Małutki jest, ale akurat dla mnie i bardzo tu ładnie. Szkoda... umyć ręce... nie, to już może raczej za komorne dopłacić?

— Nie mogę inaczej — mówi Zosia.

— Trudno — to pójdę dalej — dowladzenia!

— Dowidzenia — mówi Zosia i trzepie ściereczkę.

Ale pan Rafał stoi.

— No to już może da mi Zosia wody miseczkę — umyję ręce.

— Proszę bardzo! Tu jest miseczka, a tu mydło.

I został pan Rafał.

A wiecie? Po tygodniu sam wymiatał śmiecie, pastował podłogę i przecierał klamki.

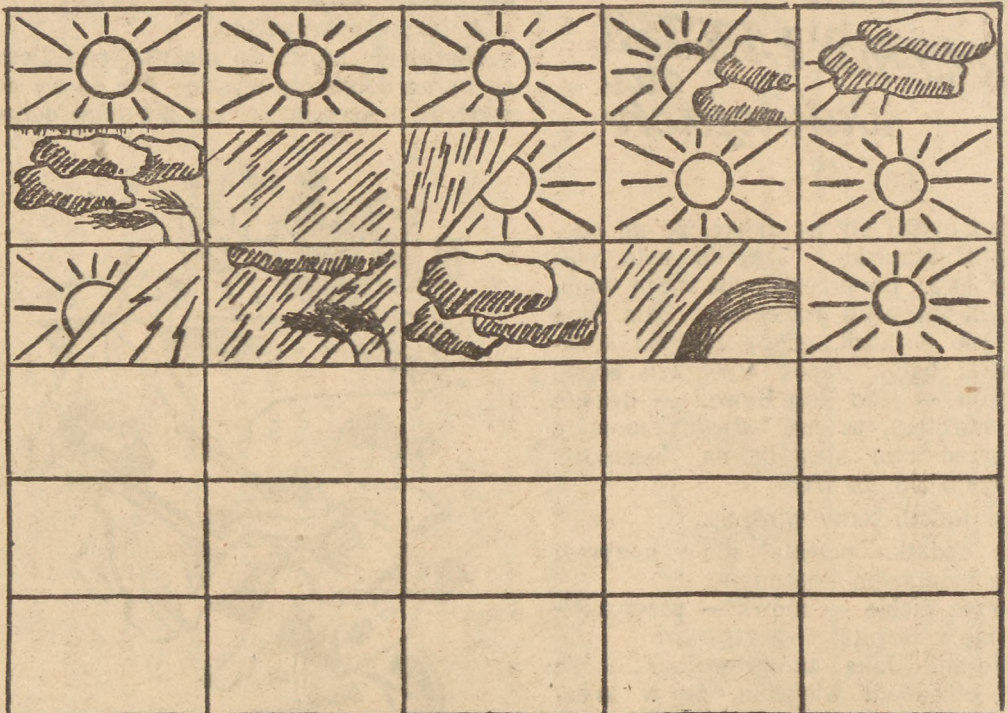
A na drzwiach przybił sobie bilecik, bo zmienił nazwisko. — Nazywa się teraz Rafał Staranny.

KACIK ROZRYWKOWY

KALENDARZYK OBRAZKOWY

Przygotowujemy sobie na każdy miesiąc tabelkę (wg załączonego rysunku) zawierającą trzydzieści poletek, na każdy dzień miesiąca jedno poletko. Poczynając od pierwszego, obserwujemy pogodę i przy końcu dnia staramy się najprostszym rysunkiem uwidocznić ją na właściwym poletku.

A więc np. pierwsze trzy dni miesiąca panuje niczym niezmacona pogoda, więc w trzech pierwszych poletkach rysujemy słońce. Na czwarty dzień do południa słońce, potem niebo się zachmurza. Nazajutrz zachmurzenie trwa, ale słońce pokazuje się zza chmur. 6 dnia do zachmurzenia przyłącza się wiatr, a następnego dnia pada ulewny deszcz. 8 dnia do południa pada jeszcze deszcz, ale spokojniejszy, potem pokazuje się słońce. Następne dwa dni panuje niczym niezmacona pogoda, a 11 dnia po południu nadchodzi burza. Cały następny dzień pada deszcz, wieje wiatr i trochę się błyska. Potem zachmurzenie, znów deszcz, a po deszczu tęcza i znów śliczna, słoneczna pogoda itd.



Ciekawe jest, gdy każde dziecko w klasie prowadzi osobno taki kalendarzyk obrazkowy, gdyż przy końcu miesiąca porównać można poszczególne kalendarzyki, co pozwala stwierdzić, czy dzieci robiły podobne obserwacje.

Na podstawie takich niewyszukanych

rysunczków można potem sobie łatwo przypomnieć stan pogody w ubiegłych miesiącach.

Dla szybkiej orientacji w dniach miesiąca możecie sobie w rogach poletek postawić małe cyferki, oznaczające kolejność dni miesiąca.

W następnym numerze wydrukujemy najładniejsze opowiadania, przysłane przez dzieci, do historyjki obrazkowej o „Jankurvhaku”.